

OJCIEC

Pamięci Ojca ten skromny szkic poświęcam

Rzucam pamięcią wstecz do lat mego dzieciństwa i jakoś bez trudności przywodzę do teraźniejszości sylwetkę Ojca. Dla mnie, jako kilkuletniego chłopca, był postacią godną podziwu.

Nigdy nie byłem w rodzinnej wsi Ojca. Stubno jest mi jednak bliskie. Tam przyszedł na świat w dniu 15.01.1898 r. Był synem niezamożnego rolnika Szymona i Marty z domu Tchórz.

W okresie I wojny światowej Ojciec został powołany do austriackiego wojska w 1916 r i wcielony do tzw. „Szturm batalionu”. Austria w owym okresie konała jako państwo. Dezercja potęgowała wojenne trudności. Wśród dezertów był też Ojciec. Nie przez tchórzostwo. Czuł się Polakiem i nie chciał umierać za cesarza ani za Austrię. Jako potrójnego dezertera, skuto go kajdanami i w „łańcuchach” wysłano na front włoski, nad rzekę Piave. Był rok 1918. Do niewoli włoskiej dostał się w Cervieniano. Tej niewoli nigdy nie zapomniał Włochom, nigdy nie mógł przeboleć nieludzkiego traktowania jeńców.

Do Francji przybył w grudniu 1918, już jako żołnierz „Armii Błękitnej”. Przeszkalano ich w użyciu broni francuskiej, uczono języka francuskiego. Wiele lat później, często nucił żołnierską piosenkę o pięknej Madelon...

Gdy opuszczał Francję w 1919 r w ramach „Armii Błękitnej” i jechał w jednym z licznych eszelonów sunących

przez zrewoltowane Niemcy, oglądał z radością niemoc wrogiego państwa i czuł się najszcześniejszym żołnierzem świata. Takich jak on było tysiące! Później, już jako stateczny człowiek, zapalał się bardzo, ilekroć wspominał te chwile.

Z dumą w głosie opowiadał o wojnie z Ukraińcami: o placówkach pod Kozłowem, o walkach z oddziałami siczowych strzelców czyhających na Lwów; o bitwach i pościgu za nimi aż po rzekę Zbrucz... Nikt im się nie mógł oprzeć! Ze zrozumiałą rozwągą napomykał ogólnikowo o niepowodzeniach: gdy w misji wywiadowczej do przyjaznego popaomalże nie wpadł w ręce kozaków, ostrzeżony na czas przez miłą popadankę; gdy rozbito jego baon pod Komarówcami, gdy wyratowali się dzięki odwadze ich dowódcy, kpt. Ogórka... Zawsze miał jakieś dobre słowo o młodym poruczniku Kucie, ale pamiętał, że z rozkazu por. Kuty stracił później zdobytą na Denikińcach uprząż. Wspominał o tym raczej wesoło, gdy osiadł na osadzie Weteranówce. Z wojny bolszewickiej wyniósł dwie rany. Do Weteranówki - osady wojskowej na Wołyniu - przyjechał ze zdobyczną klaczą, która go kiedyś wywiodła z opałów wojennych. Spoczęła w rowie graniczącym z posiadłością Knollów z Sofiówki. Bagnet, karabinek kawaleryjski i kilkaset nabojów - to była jego zdobycz wojenna. Osiadł tam pospołu z 63 innymi żołnierzami wojsk

polskich, których Polska obdarzyła ziemią przez nich zdobytą. W tym pogranicznym pasie mieli stanowić pierwszą linię obronną przeciw zakusom z bolszewizowanej Rosji. Był przekonany o swej misji dziejowej na tym krańcu Polski, gdzie niegdyś rządy sprawowali Krasiecy.

Pierwsze lata były okresem walki z licznymi przeciwnościami. Tych Ojciec nigdy nie miał zbyt mało, raczej wprost przeciwnie - aż nadto. Tutaj rzuciły go losy, tutaj postanowił budować przyszłość dla siebie i swej rodziny. Założył ją w 1925 r., poślubiając pannę Stefanię Sawicką z Hnilic Wielkich, z tych Sawickich, co niegdyś Tatarów do Polski sprowadzili i szczylic się herbem Suchekownaty, nadanym im przez jednego z książąt Mazowsza za odwagę w boju z Prusakami. Śmiał się Ojciec z tych pozostałości rządu szlachty zagrodowej, kpił po trosze ze swoich szwagrów i pracował, pracował... W ciągu lata, tylko niedziela była dlań dniem odpoczynku. Swoim potężnym głosem śpiewał Magnificat lub psalm z nieznanych: Boga naszego chwalcie wszystkie ziemie...

Wraz z oddziałem Korpusu Ochrony Pogranicza, Krakusi pełnili służbę obronną na tym odcinku granicy polsko-bolszewickiej, brali udział w obchodach narodowych i stanowili eskortę, ilekroć przyjeżdżał do Białozórki bp Adolf Szelażek, czy ktoś z dygnitarzy państwowych. W kawaleryjskich mundurach i przy szablach, występowali podczas uroczystości Bożego Ciała. Ojciec lubił wojskową organizację, wyżywał się w niej. W domu wisiał na ścianie karabinek kawaleryjski, na sto-

liku przy łóżku Ojciec miał często rewolwer. Jego obecność była zazwyczaj dyktowana sytuacją na pograniczu, obawą Ojca przed napadem i porwaniem. Wynikało to z jego krótkotrwałej służby w „dwójce” - kontrwywiadzie nastawionym na Związek Sowiecki. Z tej służby Ojciec wycofał się wiele lat przed wojną.

Ojciec był sprawiedliwy i czuł na punkcie honoru i życiowej uczciwości. Ta cecha wiele go czasem kosztowała, gdy dla zasady musiał nadstawiać głowy, bronić prawdy w licznych wypadkach. Należał do Stronnictwa Narodowego i nie dał się skusić obietnicą pożyczki, ulgami i ułatwieniami dla rodziny, gdyby przeszedł do współpracującego z sanacją Stronnictwa Ludowego „Piast”. Jako „hallerczyk”, chciał być wierny ideologii Romana Dmowskiego, za którego przyczyną mógł służyć w Wojsku Polskim. Nigdy nie okazywał otwartej wrogości Żydom i Ukraińcom i to może zadecydowało o jego przeżyciu w tragicznym wrześniu 1939 r.

Pamiętam Ojca jako silnego człowieka, wytrwałego gospodarza i dobrego rządcę swej skromnej posiadłości. Potrafił wraz z Matką dobrze zaplanować przyszłość. Był zdolny do przedstawiania się na gospodarzkę racjonalną. Potrafił prowadzić oszczędny tryb życia, być dobrym ogrodnikiem, bartnikiem chodzącym wytrwale wokół swej pasieki, rolnikiem świadomym, który ziemię dobrze wykorzystywał i nie pozwalał na jałowienie najmniejszego skrawka gruntu. Przed wojną wziął trochę obcej ziemi w dzierżawę, założył wielki sad owocowy, wybudo-

wał większy dom, ozdobiony dwoma gankami; wraz z Matką myślał o kształceniu dzieci, co w owych czasach nie było zbyt łatwe. Był człowiekiem, który szedł z postępem czasu, ale jednocześnie religijnym. Mówiła o tym Jego przynależność do Bractwa Kościelnego i obowiązkowość w obrzędach religijnych. Jak wielu innych, przyczynił się do wybudowania nowego kościoła dla Polaków z Białozórki i okolic. Podkreśleniem tej postawy była Jego wielka niechęć do wszystkiego, co miało najmniejszy choćby związek z ateistycznym systemem bolszewickim. Określenie kogoś mianem bolszewika było w ustach Ojca wielkim oskarżeniem.

Wybuch wojny wpłynął wielce na zachowanie się Ojca. Stał się nerwowy, niespokojny w obejściu. Na chłodno oceniał sytuację i przygotowywał się do chwili otrzymania Karty Mobilizacyjnej. Jako Krakus był często na służbie. Patrołowano granicę, ulice Białozórki, poddano pod obserwację znanych nacjonalistów ukraińskich w tym miasteczku i okolicznych wioskach. Zależnie od potrzeb, brał zawsze ze sobą karabin, nakładał mundur. Czasem wychodził w cywilnym ubraniu. Wówczas zapamiętałe czyścił z niewidocznych kruszyn piasku swoje kieszenie, w których chował swój rewolwer. Po takiej służbie nocnej wracał skonany, czasem obłocony, to znów zakurzony. Pogarszająca się sytuacja na froncie zrobiła zeń człowieka bardziej wyrozumiałego dla otoczenia.

Później wypadki zaczęły się toczyć szybko: wpięrowano aresztowano Ojca i wszystkich osadników, z których za-

trzymano kilku, resztę po prawie publicznym sądzie - wypuszczono. W październiku zadecydowali nowi władcy i Żydzi z Ukraińcami, że osadnicy muszą się wynieść. Dokąd? To ich nie obchodziło. Zaczęła się bezprawna parcelacja gruntów, zabieranie plonów letnich, bydła i urządzeń. Ojciec znosił to łzej, Matka „odchodziła od zmysłów”, obserwując rozkradanie mienia, samowolę tłumu. Wyjechaliśmy do Hnilic Wielkich, do babci, Barbary Sawickiej. Pozwolono Ojcu zabrać tylko jednego konia, jedną krowę i ileś tam ziarna. W ciągu niespełna dwóch miesięcy Ojciec został bezrolnym, pozbawionym środków do życia człowiekiem. Zaciśkał zęby i milczał, próbując coś tam zarabiać. Wiedział, że na długą metę nie wytrzyma.

10 lutego 1940 r przyszli do babci Sawickiej milicjanci i oficer NKWD. Po przeczytaniu nakazu deportacji, dano nam czas na spakowanie potrzebnych narzędzi, zabranie trochę żywności i odzieży. To był początek drugiego etapu życia Ojca.

Podróż na Sybir trwała łącznie ponad trzy tygodnie. Ojciec wykazał wielki hart ducha, spryt i zapobiegliwość. Dbał o nas wszystkich i dojechaliśmy „szczęśliwie” do Ozierek, w Swierdłowskiej obłści. Tam miało miejsce jakieś przeobrażenie się Ojca, który nie chciał pozwolić na zatracenie rodziny. Wiarę w powrót do Polski podtrzymywała Matka. Chronił ją przed trudami. Tam urodziła się moja siostra Stefania. Pracował ciężko. Zagrażała mu choroba żołądka, z której wylizal się wbrew wszystkiemu.

„Amnestia” wyratowała mu życie. Nam również. Nie chciał pozostać na owym posiołku ani chwili dłużej. Parł do podróży na południe, gdzie jakoby już istniały placówki polskiej ambasady, mające się opiekować ludnością cywilną. Na południe przierzucano też oddziały Wojsk Polskich z Tockoje, Buzułuku i innych ośrodków organizacyjnych. Że ruszyliśmy owego grudnia 1941 r, to zasługa Ojca, który wraz z Matką, przygotował zapasy do tej długiej podróży, mającej trwać ponad trzy miesiące. Widziałem wysiłki Ojca, obserwowałem jego poświęcenie i ciągly ubytek sił. Walczył o nas wszystkich. W Arisi uciekłem z wagonu, nie przeczuwając, że już nigdy nie zobaczę swej siostry Stefuni.

Stefunia urodziła się głodna, przychodząc na świat w grudniowy dzień 1940 r w zapadłej głuszy sowieckiej tajgi, w wygnańczych Ozierkach umiejscowionych gdzieś na mapie Syberii, która - jak ów tajemniczy i okrutny Moloch - pochłaniała nowe ofiary z grona wygnańczej rzeszy Polaków, rzuconych w pustkowie Swierdłowskiej obłaści. Przez Tabory wiódł Trakt Syberyjski do Tobolska, znanego z poezji, dokąd wiek przedtem jechały kibitki z nieposkromionymi Polakami...

Była maleństwem o przeraźliwie jasnej, przezroczystej cerze. Głód dopominał się zaspokojenia. Ten trawiący ją ciągle głód upodabniał ją do reszty rodziny, która różniła się tylko tym, że była świadoma różnych niedostatków i głodu, równie gnębiącego. Tej świadomości była pozbawiona Stefunia i instynktem małego dziecka wiedziona

- wykorzystywała tę sytuację. Wyciągając zaborczo dłonie mówiła „daj”, kierując spojrzenie na kęs strawy w posiadaniu kogoś z domowników. To było pierwsze słowo Stefuni, którym terroryzowała rodzeństwo, prosząc o oddanie wszystkiego co rozpoznawała jako pokarm. „Daj”, „daj” - dopominała się Stefunia.

W podróży z Sybiru, gdzieś do mitycznych placówek polskich mających jakoby funkcjonować w większych miastach - Stefunia była obiektem troski całej rodziny, zajętej zdobywaniem dla niej w pociągach, jakiegoś ciepłego jedzenia, odpowiedniego kąta w poczekalniach stacji kolejowych. Jej ciągła agresywność w dopominaniu się o coś do jedzenia, była sprawdzianem jej zdrowia, chociaż już śmierć zaczęła zbierać swe żniwo. W Czkałowie zaczęła Stefunię męczyć gorączka. W Arysi zachorowała. W Taszkencie rozpoczęła się walka ze śmiercią. Działalność Abad był jej kolejnym etapem, gdzie cała okropność sytuacji zaczęła mówić o ostatecznym losie Stefunii.

Dżuginur. Dno upadku na tej przeklętej i przez Boga zapomnianej ziemi dalekiego Uzbekistanu. Biel śniegu - jedyna jasność w tych dniach powolnej agonii Stefunii. Ostatnie próby ratunku, przez oderwanie się od ścian nędznej „kibitki” i szukanie ocalenia w odosobnionej stajni, oczyszczonej dla użytku tych nędzarzy z Wołnyia. Gdzieś podczas nocy, gdy wszyscy znużeni byli daleką podróżą - anioł śmierci położył swe dłonie na oczach 15 - miesięcznej Stefuni. Anno Domini 1942.

Zmarła w wieku 15 miesięcy, gdzieś w Dżuginar, w Uzbekistanie. O jej śmierci dowiedziałem się we Wrewskoje, gdzie byłem już w mundurze wojskowym, w Szkole Junaków.

Ojca spotkałem znów w Pahlevi, w marcu 1942 r, gdy idąc gdzieś z rozkazem, nerwowo wypytywał się o oddziały junackie. Wprost weszliśmy na siebie. Poczestowałem go kawalkiem kostki daktyla. Kolejne spotkanie było podobne, w Palestynie, na drodze pomiędzy Gederą i Bash-Shit, gdzie zaplanowano nasz obóz junacki. Później widzieliśmy się kilkakrotnie w Rafah - na granicy egipsko-palestyńskiej, to znów w Rehovoth i Latrun, koło Emaus, na drodze do Jerozolimy. Odanie opiekował się Matką i siostrą Marią w Indiach; opiekował się siostrą Heleną w Egipcie i w Palestynie, mnie mając ciągle „na oku”.

Życie w powojennej Anglii nie było dla nas łatwe. Tutaj odbyło się połączenie całej rodziny, której znów mógł przewodzić nasz Ojciec. Znów dbał o nas: w pierwszym obozie zamieszkał już z Matką i siostrą Marią. Po demobilizacji i krótkim tułaniu się tu i tam - dołączyłem i ja do nich. Cieszył się, że znów jesteśmy rodziną. Znów pracował ciężko, znów zaczął się „dorabiać” w obcym kraju. Po sześciu latach służby w Wojsku Polskim, w różnych krajach świata.

Po okresie pobytu w angielskich obozach i mieszkaniu w barakach, spotkaliśmy się w Sheffield. Cieszył się z możliwości zarobkowania w fabryce. Dbął jak dawniej o Matkę i nie pozwalał jej na pójście do pracy w fabryce. Był dobrym mężem i ojcem. Szły lata... W Sheffield żył o wiele dłużej niż w dalekiej Weteranówce. Początkowa obawa przed bezczynnością, gdy po skończeniu 65 lat życia przeszedł na emeryturę, ustąpiła miejsca zadowoleniu z możliwości wypoczynku, częstego „wyskakiwania” do Polskiego Ośrodka Katolickiego na partyjkę. Cieszył się powiększającą się liczbą wnuków, chętnie ich widział wokół siebie. Nie stał bezczynnie, gdy budowano Polski Ośrodek Katolicki w tym mieście: dawał nań skromne dotacje, swoją pracę przy odnawianiu posesji i cieszył się z sukcesu.

Zwykłe przeziębienie nabyte w jesieni 1973 r przeciągnęło się i dokuczało. Prześwietlenie wykazało plamę na płucach. Odmówił pójścia do szpitala przed Bożym Narodzeniem, ale poddał się woli rodziny w kilka tygodni później. Wiedział, że to był rak. Po powrocie do domu rozpoczęły się męki. Pożegnał się świadomie z rodziną i zmarł 16 marca 1974 r. Spoczął na cmentarzu w Sheffield.